

Z okazji pięćdziesięciolecia zwróciliśmy się z prośbą o nadsyłanie wszelkich materiałów dotyczących historii Instytutu Zachodniego, w tym także wspomnień, refleksji na temat oczekiwań i zadań stawianych Instytutowi oraz możliwości ich realizacji, pozostawiając całkowitą dowolność w doborze problematyki, formy wypowiedzi i okresu.

Bardzo dziękujemy wszystkim, którzy życzliwie potraktowali naszą prośbę.

Nadesłane materiały nie tylko wzbogacą archiwum Instytutu Zachodniego, ale przede wszystkim poszerzą wiedzę o dziejach Instytutu, przybliżą związanych z nim ludzi, utrwalą pamięć o osiągnięciach, sukcesach, ale i o trudnych, czy wręcz dramatycznych chwilach. Odnaleźć w nich można także wielkie zatroskanie o przyszłe losy Instytutu i wiele interesujących sugestii dotyczących zarówno problematyki badawczej, jak i warunków istnienia Instytutu.

We wszystkich zamieszczonych poniżej tekstach, zarówno ze względu na wartość przekazu, jak i na emocjonalne zaangażowanie autorów i niekiedy bardzo osobisty charakter refleksji w pełni zachowany został zarówno sposób narracji, jak i stylistyka wypowiedzi.

MARIAN WOJCIECHOWSKI

FRAGMENT WSPOMNIENI

Odnalezienie wymiaru przeszłości jest sprawą trudną. Na – w miarę uporządkowane – wspomnienia rzutuje teraźniejszość, a także lata, jakie upłynęły od wspomnianego czasu. Całkowite odnalezienie „ówczesnego wymiaru” jest więc właściwie niemożliwe; można się tylko o to starać, sukces zaś zawsze będzie wątpliwy. Tym bardziej ma to miejsce w przypadku, gdy ten właśnie fragment wspomnień chcę ukierunkować, poświęcić go memu Ojcu. Nie mam więc zamiaru pisać „o wszystkim”, co się w mojej przeszłości zdarzyło. Takie wspomnienie może być napisane jednak tylko przez pryzmat własnych przeżyć, tak, jak je dzisiaj widzę, choć z oczywistym wysiłkiem przywrócenia pamięci tamtych lat, tak, jak je wówczas postrzegałem. Zresztą, o Ojcu i Jego działalności „wszystkiego” nie wiedziałem. Wspomnień tych

świadomie nie uzupełniałem ani materiałem archiwalnym, ani tekstami opublikowanymi. Czynnikiem korzystnym okazuje się jednak dystans: od śmierci Ojca minęło 39 lat (zmarł w 1955). Czas to więc zamknięty. Wszystko co się działo później, działo się już bez Jego obecności.

Zacząć wypadnie od 1 września 1939 r. Miałem wówczas ukończonych 12 lat. W moim własnym życiorysie data ta jest zasadniczą cezurą: wtedy skończyło się moje dzieciństwo.

Ewakuowani zostaliśmy z Poznania 4 września, pociągiem ewakuacyjnym składającym się z wagonów towarowych. Dwa lub trzy z nich przewoziły pracowników Uniwersytetu Poznańskiego i Archiwum Państwowego. Byłem tam z Matką i Ojcem, zaś pociąg miał nas zawieźć do Jarosławia, gdzie miała być ewakuacyjna siedziba Uniwersytetu. Utknęliśmy ostatecznie, chyba 13 września, w Żychlinie, kilkanaście kilometrów na zachód od Kutna. Ojciec, wraz z Franciszkiem Paprockim, archiwistą Archiwum Państwowego w Poznaniu, późniejszym profesorem UAM, udali się na poszukiwanie dowództwa Armii „Pomorze”, do którego mieli przydział, niedoszły do skutku wcześniej, z nie znanych mi przyczyn. Nic o Ojcu nie wiedząc, błakaliśmy się z Matką i Kazimierzem Kaczmarczykiem, dyrektorem Archiwum Państwowego, po kotle kutnowskim – jako cywile, obserwatorzy bitwy nad Bzurą. Okazało się później, że Ojciec był „stale” niedaleko od nas, choć też się poruszał. Niemcy „zajęli” nas 17 września, rozpoczęliśmy mozolny powrót do Poznania. Wróciliśmy tam chyba 25 września, Ojciec – wraz z Paprockim – kilka dni później, w każdym razie przed końcem miesiąca. Obaj panowie uniknęli świadomie niewoli, za zgodą gen. Bortnowskiego (byli „w cywilu”). Kupili wóz i dwa konie i w ten sposób dojechali do Poznania, pozbywszy się pojazdu i koni na granicach miasta. O Paprockim Ojciec mówił później „Franz Paproki”. Pewno w czasie powrotu mieli jakieś perypetie z Niemcami.

Okazało się, że „Gestapo” przyszło po Ojca 12 lub 13 września (Niemcy wkroczyli do Poznania 11 września). Dozorca domu, w którym mieszkaliśmy (przy ul. Spokojnej 10), Czesław Markiewicz, podoficer II Oddziału, powiedział tym Niemcom, że profesor Wojciechowski, wraz z rodziną, wyjechał na wakacje do USA i nie wrócił. Piszę „Gestapo” w cudzysłowach, bowiem byli to członkowie jednej z działających w Polsce grup operacyjnych (*Einsatzgruppen*) – w ramach *Unternehmen Tannenberg*. Dziwnym trafem zachowała się oryginalna teczka funkcjonowania tego *Unternehmen*, a odnosząca się do Uniwersytetu Poznańskiego. Mam ją w swoich zbiorach. Są tam kilkuwierszowe charakterystyki profesorów i docentów UP, także niektórych doktorów, wśród nich i Ojca. Określony tam został jako *fanatischer Patriot* i *deutschfeindlich*. Ale „Gestapo” zgubiło Jego ślad. Nie było wówczas w świeżo okupowanym Poznaniu koordynacji działania władz, w szczególności organizującej się policji i wojska, i to nawet jeszcze po 26 października 1939 r., po zniesieniu cywilnego

zarządu wojskowego i przyłączeniu Poznańskiego do Rzeszy. Królowała na razie improwizacja.

Ojciec zdecydował, że trzeba jednak zmienić mieszkanie, także dlatego, że nie było nas stać na opłacenie czynszu (110 zł miesięcznie), czego domagał się właściciel domu. Pamiętam, że obok żądania przezeń czynszu, Rodzice toczyli z nim dyskusję polityczną, której się przysłuchiwałem. Utkwiło mi w pamięci, że ów „kamienicznik” powiedział, że „Niemcy wojnę przegrają, a do Poznania przyjdą bolszewicy”.

Zmiana mieszkania dokonała się szybko, w pierwszej dekadzie października. Zamieszkaliśmy niedaleko, w domu przy ul. Matejki 39. Kilka dni później Ojciec został zakładnikiem *Wehrmachtu* i przebywał w Ratuszu. Odwiedziłem go tam raz z Matką. Ojciec pokazał mi wówczas Adama Poszwińskiego, członka trzyosobowego Komisariatu Rady Ludowej w Poznaniu, w 1918 i 1919 r. Zginął w Forcie VII. Zapamiętałem jego sylwetkę.

Zakładników, po pewnym czasie, puszczano co drugą noc do domu; mieli uspokajać ludność, by „nie wywołała powstania”. Ojciec miał przy sobie zaświadczenie, że jest zakładnikiem i że nie wolno mu opuszczać Poznania. W takiej sytuacji, wieczorem – 6 listopada – usiłowano nas wysiedlić; był to początek akcji wysiedleńczej (*in zwanzig Minuten raus* – to pamiętam). Niemcy nie wiedzieli co począć z tym zaświadczeniem i nas zostawili. Później już nocujących w domu zakładników pozostawiano, wysiedlano zaś jego rodzinę. Pamiętam też, że do Matki przyszedł prof. Bronisław Dembiński, wówczas już staruszek (zmarł w listopadzie). Ofiarowywał się, że „pójdzie za Ojca” jako zakładnik. Wielka ta propozycja nie była do przyjęcia, zresztą jej realizacja nie byłaby możliwa.

Po tym nieudanym wysiedleniu Rodzice zdecydowali, że Matka i ja pojedziemy do Krakowa, do przyjaciela Ojca, prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od niego to, z początkiem października 1939 r., Ojciec otrzymał oficjalne zaproszenie do objęcia katedry na UJ, napisane po polsku i po niemiecku, na oficjalnym blankiecie Rektora UJ. Tak sobie – wtedy jeszcze – wyobrażano życie pod niemiecką okupacją. Wyjechaliśmy 8 lub 9 listopada, za oficjalną przepustką, o którą nie było trudno; Niemcy pozbywali się Polaków na wszystkie sposoby. Do Krakowa jechaliśmy przez Wrocław. Rynek, dzisiejsza ul. Świdnicka, jakiś park, pozostały mi, w nie zniszczonym Wrocławiu, dobrze w pamięci.

Po przyjeździe do Krakowa okazało się, że profesorowie UJ są aresztowani, zaś dom profesorski, gdzie mieszkał Lehr-Spławiński (przy Al. Słowackiego 15), przeznaczony jest dla Niemców. Dobrzy ludzie nam pomogli. Z Matką mieszkałem w mieszkaniu aresztowanego prof. Władysława Semkowicza, później przy ul. Siemiradzkiego 15; puste mieszkanie znalazły nam córki prof. Stanisława Kutrzeby. Pamiętam jak do Pani Semkowiczowej przychodziły przerażone żony aresztowanych profesorów i wymieniały upiorne wiadomości

z Sachsenhausen, gdzie więzieni byli profesorowie krakowscy. Wigilię spędziłem z Matką u Władysławowstwa Szaferów.

Ojciec przyjechał do Krakowa w pierwsze święto Bożego Narodzenia. Zwolniony został z zakładnikostwa na skutek pisma mojej Matki do niemieckich władz wojskowych; Matka była w 9 miesiącu ciąży (2 stycznia 1940 r. urodziła się moja siostra, Wanda). Ojciec opowiadał, że oficer zwalnający go ze statusu zakładnika oświadczył, że były zakładnik ma się zgłosić po przepustkę do policji, ale że on osobiście tego odradza. Ojciec by i tak tam oczywiście nie poszedł. Dr Kazimierz Kolańczyk, uczeń Ojca, późniejszy profesor UAM, postarał się o „lewą” przepustkę do Krakowa i przeżegnawszy się wpisał do pustego blankietu numer, nazwisko i imię.

Po zwolnieniu Ojca z zakładnikostwa, przed wyjazdem do Krakowa, udało się Ojcu bezpieczne – jak się okazało – ulokowanie Jego biblioteki. Przyjął ją w depozyt („Depositum Wojciechowski”) dr Hermann Gollub, znany Ojcu sprzed wojny archiwista wrocławski, wówczas – dyrektor *Reichsarchiv Posen*. Gollub powiedział: po wojnie bibliotekę Pan sobie odbierze. Tak też się stało. Gollub był dyrektorem archiwum poznańskiego do 1943 r., potem poszedł na front. Zmarł w 1958 r. Jego następcą wyrzucił wszystkie polskie depozyty (śladem Ojca poszło jeszcze kilku profesorów poznańskich) z archiwum na Górze Przemysława do dolnego kościoła św. Michała przy ul. Stolarskiej. W 1945 r. archiwum poznańskie się spaliło, spalił się również górny kościół św. Michała. Książki „na dole” się uratowały. Z „Depositum Wojciechowski” zginął jedynie dział historii sztuki i pierwsze wydanie *Mein Kampf* (1925) Adolfa Hitlera.

W niedługim czasie po przyjeździe Ojca do Krakowa zamieszkaliśmy w czteropokojowym mieszkaniu zmarłego w Sachsenhausen profesora Akademii Górniczej, Antoniego Hoborskiego – kawalera, przy placu Jabłonowskich 3 (dziś gen. Wł. Sikorskiego). „Era placu Jabłonowskich” trwała dwa i pół roku, bowiem w lecie 1942 r. dom, w którym mieszkaliśmy, przeznaczony został dla Niemców. Aż do września 1943 r. mieszkaliśmy w małym mieszkanku na krakowskim Podgórzu. Od końca 1941 r. Ojciec przebywał już na stałe w Warszawie. Co tam robił – poza pisaniem – w gruncie rzeczy nie wiem. Zygmunt Wojciechowski nigdy nie był skłonny do zwierzeń, jeśli z Jego przeszłości czegoś się dowiadywałem – to sporadycznie lub od osób trzecich. Intensywnie więc pisał. Podczas wojny, w Warszawie, powstała późniejsza *Polska – Niemcy, X wieków zmagania* (wydana w 1943 r., konspiracyjnie, jako *Szkice historyczne* Karola Szajnochy), *Polskie państwo w wiekach średnich* i *Zygmunt Stary*.

„Plac Jabłonowskich” to osobna historia, nie tu miejsce, by ją szerzej opisywać. Przez nasze mieszkanie przewijało się *multum* różnych ludzi, wszystko było ciągle „w ruchu”. Wspomnieć muszę jednak prof. Bohdana Winiarskiego, którego obecność przy pl. Jabłonowskich, zimą 1940 r., dobrze

zapamiętałem. Odwiedził on Ojca w drodze do Francji, przez Węgry. Rozmowa musiała być wielce interesująca, bowiem Winiarski zbierał opinie różnych ludzi, by je potem przekazać władzom polskim na emigracji.

Od jesieni 1941 r. do lata 1942 r. mieszkającą u nas opiekunką moich siostr (w lipcu 1941 r. przybyła druga siostra, Agnieszka) była dwudziestoletnia wówczas Stanisława Zadęcka, Żydówka, pochodząca z miejscowości Skala pod Olkuszem. Jej prawdziwego nazwiska nie znałem. Nie wiem kto „Stasię” Rodzicom „nadał”. Wiem, że musiała zniknąć, gdy znalazła kawalera, który chciał się z nią żenić. Taki ożenek groził bowiem dekonspiracją „Stasi”. Nie znam jej dalszych losów.

Od 1940 r. Ojciec pracował w księgarni Stefana Kamińskiego, przy ul. Podwale, blisko ul. Karmelickiej. Był tam, *pro foro externo*, ekspedientem, w gruncie rzeczy doradcą Kamińskiego. Wówczas to powstał pomysł późniejszej „Biblioteki Wiedzy o Polsce”; Kamiński dawał zaliczki przyszłym autorom. Pomysł ten, przejęty w Warszawie przez Stanisława Arcta, nie został zrealizowany, bowiem większość rękopisów dostarczonych przez autorów spaliła się w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie ukazały się chyba trzy tomy „Biblioteki Wiedzy o Polsce”, w tym wspomniany wyżej *Zygmunt Stary*.

Jesienią 1943 r. nastąpiły warunki na połączenie się Ojca z rodziną; zamieszkaliśmy wszyscy nie w Warszawie, lecz w pobliskim Milanówku, przy ul. Słowackiego 24 (Ojciec miał w Warszawie *pied-à-terre* przy ul. Senatorskiej 36)¹. Świadomie zrealizowany pomysł zamieszkania poza Warszawą (bo bezpieczniej) okazał się w czasie Powstania i po jego klęsce – zbawienny; właśnie w Milanówku powstał, w połowie grudnia 1944 r., Instytut Zachodni.

Moja pamięć o czasach milanowskich jest już bardziej żywa. W drugiej połowie 1944 r. miałem już ukończonych lat siedemnaście, interesowałem się przebiegiem wojny i tymi okrucami polityki, które do mnie docierały. Ojciec, 30 lub 31 lipca 1944 r. pojechał do Warszawy, „do Powstania”, skąd wrócił do Milanówka chyba już 9 sierpnia. Został na Starym Mieście zagarnięty przez Niemców; uciekł (w Ursusie) z pociągu wiozącego Go do obozu w Pruszkowie. Przenocował w Ursusie u proboszcza, doprowadził się do porządku i wrócił do domu.

W tych ostatnich miesiącach 1944 r. Ojciec bardzo mocno podkreślał konieczność porozumienia się z Rosją. Bardzo krytycznie odnosił się do – Jego zdaniem – nierealnej politycznie koncepcji, jaka legła u podstaw decyzji o podjęciu walki w Warszawie. Mówił jednak, że po oczywistym niepowodzeniu Powstania, w pierwszych dniach sierpnia, trzeba było wygrać atut

¹ Jesienią 1943 r. przysłuchiwałem się, w mieszkaniu przy ul. Senatorskiej, rozmowie Ojca z Romanem Lutmanem, przed wojną dyrektorem Instytutu Śląskiego w Katowicach. Ukrywał się on pod innym nazwiskiem. Ojciec konspirował przede mną Lutmana. Zadał mu np. m.in. pytanie: co Pan Kolega będzie czynił, gdy mianują go po wojnie wojewodą olsztyńskim. Lutman, jeśli już, mógł zostać, to tylko wojewodą katowickim lub opolskim. „Zidentyfikowałem” go po wojnie.

bohaterstwa. Uważał, że rezygnacja z ziem wschodnich Rzeczypospolitej jest nieunikniona i trwała, pozwala równocześnie mocniej stawiać sprawę ziem zachodnich. W ostrych słowach krytykował wywiad premiera Tomasza Arciszewskiego dla „Sunday Times” (17 grudnia 1944). Arciszewski powiedział w tym wywiadzie „nie chcemy Wrocławia, nie chcemy Szczecina”. Ojciec powiedział, że w wywiadzie prasowym premier powinien mówić czego chce, nie zaś – czego nie chce. W Jego ówczesnym rozumieniu oderwanie od Niemiec ich obszarów wschodnich, wraz z rezygnacją z Kresów, oznaczało powrót Polski na ziemie piastowskie, do państwa Mieszka I, równocześnie – przybliżało Polskę do Zachodu. Wraz z skryształizowaną do końca, i to pod wpływem ciężkich doświadczeń okupacji niemieckiej – opcją na rzecz Rosji, oznaczało to realizację terytorialno-politycznej koncepcji Romana Dmowskiego. Taki właśnie punkt widzenia szedł zdecydowanie pod prąd poglądom panującym w Delegaturze Rządu na Kraj; uosabiał je Delegat, Jan Stanisław Jankowski. Symbolem tej postawy było niezłomne stanowisko wobec granicy ryskiej. Jesienią 1944 r. odwiedził on Ojca w milanowskim domu przy ul. Słowackiego 24. Pozwolono mi przedstawić się Delegatowi (prowadziłem wówczas nasłuch radiowy, już dla potrzeb Delegatury, urzędującej na linii Milanówek–Podkowa Leśna). Pamiętam Go siedzącego przy stole, w jadalni. Wiem, że rozmowa była bardzo burzliwa, choć nie znałem jej przebiegu. Z tymi dyskusjami kojarzy mi się sprawa październikowego numeru „Rzeczypospolitej Polskiej”, organu Delegatury. Zawierał on wyłącznie teksty atakujące politykę ZSRR wobec Polski. Ojciec spowodował, że do tego numeru dołączona została wkładka informująca o aktualnych problemach niemieckiej polityki okupacyjnej. Istotną częścią tej wkładki był artykuł Ojca pt. *Beseler ze swastyką*, nawiązujący do umizgów niemieckich wobec Polaków, po klęsce Powstania Warszawskiego. Umizgi te były przedziwnym dodatkiem do trwającej w dalszym ciągu niemieckiej polityki eksterminacyjnej.

Owa opcja prorosyjska (ciągle mowa o jesieni 1944) szła w parze z następującym rozumowaniem: jesteśmy za „postawieniem na Rosję, przeciw Niemcom”, „mamy niewątpliwe zaplecze w społeczeństwie polskim – nie ma go PPR. Powinno być więc rzeczą oczywistą, że Rosja postawi na nas, jeśli powojenna współpraca z nią ma mieć trwały charakter i znaleźć ma zrozumienie u Polaków”. Było to jeszcze jedno błogie złudzenie; legło chyba ono również (ale już po Jałcie) u podłoża przyjęcia przez Szesnastkę tragicznego „zaproszenia do Moskwy”.

W takiej otoczce rozumowania politycznego powstał, w połowie grudnia 1944 r., Instytut Zachodni. Jego zadaniem miało być skupienie wszelkich wysiłków na uzyskaniu i zagospodarowaniu, kosztem pokonanych Niemiec, „ziem postulowanych” – jak je wówczas określano, począwszy chyba od 1942 r. Ojciec zdawał sobie sprawę z tego, że – *nolens volens* – rezultatem drugiej wojny światowej dla Polski będzie jej nowe miejsce w Europie i że – w takiej

sytuacji – zadania, jakie staną przed Instytutem są bardzo wielkiej wagi. W Milanówku sąd taki nie raz słyszałem i dobrze go zapamiętałem. Oczywiście, nie zdawano sobie wówczas sprawy z wszelkich następstw wejścia Polski w orbitę ZSRR, sądzono, że będziemy krajem suwerennym. Ale dobrze pamiętam wrażenie, jakie na Ojcu wywołały „moje” nasłuchy polskich audycji radia moskiewskiego „Kościuszko”: potępienie w czambuł rządu londyńskiego i jego polityki. Dobrze pamiętam wrażenie, jakie wywołało tytułowanie Stanisława Mikołajczyka (w czasie jego wizyty w Moskwie, w październiku 1944) per „pan Mikołajczyk”. Wówczas jeszcze Stanisław Mikołajczyk był premierem rządu londyńskiego. Podobnie odbierano nasłuch trudno słyszalnej „Pszczółki”, lubelskiej radiostacji PKWN.

Instytut Zachodni wyłonił się ze środowiska założonej w Poznaniu, jesienią 1939 r., organizacji „Ojczyzna”. Genetycznie wywodziła się ona ze Związku Młodych Narodowców, który powstał z początkiem lat trzydziestych, w rezultacie rozwiązania przez władze Obozu Wielkiej Polski. Walka z okupantem niemieckim i dążenie do uzyskania „ziem postulowanych”, prace nad politycznymi, gospodarczymi, ba, wręcz organizacyjnymi aspektami wcielenia tych ziem do Polski – to główne zadania „Ojczyzny”. Miała ona zresztą zdecydowane piętno wielkopolskie. Włodzimierz Głowacki – bardzo bliski przyjaciel Ojca i Kirył Sosnowski (od wiosny 1944 r. w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, skąd wyszli w końcu wojny), zaś w Milanówku, w 1944 r., po Powstaniu: Antoni Horst, Zdzisław Jaroszewski, Juliusz Kolipiński, Edmund Męclewski, ks. Karol Milik (późniejszy Administrator Apostolski Dolnego Śląska), Jan Jacek Nikisch (przewodniczący „Ojczyzny” i członek Rady Jedności Narodowej z jej ramienia), Edward Serwański, Jan Zdzitowiecki – to współzałożyciele Instytutu. Jesienią 1944 r. przyjeżdżał bardzo często do Ojca Andrzej Grabski, rezydujący w rodzinnym majątku Borów, pod Łowiczem, syn Władysława Grabskiego, delegat na powiat łowicki. Zimą 1945 r., już po ustaniu okupacji, pojawił się w Milanówku Stanisław Kozicki. Ale pojawił się również (w mundurze) mjr Leon Łustacz (późniejszy profesor teorii prawa na Uniwersytecie Warszawskim), przed wojną asystent wybitnego teoretyka prawa i filozofa, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, Czesława Znamierowskiego. Wizytę Łustacza Ojciec traktował jako „sondażową”.

W Milanówku, od jesieni 1943 r., uczęszczałem „na komplety”, do ówczesnej I klasy liceum (dziś byłaby to trzecia klasa licealna). Gdy we wrześniu 1944 r. zaczął się nowy rok szkolny, a trzeba było dalej prowadzić nasłuch radiowy, Ojciec polecił mi czynić to ostatnie, z komentarzem: *inter arma silent musae*. Gdy 17 stycznia 1945 r. Armia Radziecka wyzwoliła Milanówek, usłyszałem: koniec z nasłuchem, trzeba iść do szkoły. Egzamin dojrzałości złożyłem w Milanówku 4 lipca 1945 r. Wiosną tego roku przepisywałem na maszynie rękopisy książki Rodziców *Polska Piastów – Polska Jagiellonów* (ukazała się ona w 1946).

W połowie lutego 1945 r. Ojciec „zalegalizował” Instytut Zachodni u premiera Rządu Tymczasowego, Edwarda Osóbki-Morawskiego. Pamiętam, że z Warszawy przywiózł 50 tys. „nowych” złotych (było to dużo) do rozdania wśród najbardziej potrzebujących.

Rodzice wrócili do Poznania z początkiem kwietnia, ja dołączyłem w lipcu. Wkrótce zamieszkaliśmy w willi (raczej – „kamieniczce”) Emilii i Szczepana Jeleńskich, w pięknym mieszkaniu przy ul. Góralskiej 3, na północnym skraju Sołacza. Ojciec źle się czuł w tym nowym lokum, chciał koniecznie wrócić do mieszkania przedwojennego, nieporównanie gorszego, przy ul. Spokojnej 10. Okazało się to niemożliwe. Odczytuję tę przemożną chęć powrotu „na Spokojną” jako namiastkę kontynuacji lat przedwojennych *sui generis*.

Od jesieni 1945 r. rozpocząłem studia, na sekcji ekonomiczno-politycznej Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP. Nie były one zbyt absorbujące, lecz o Instytucie w gruncie rzeczy nie wiedziałem za wiele. Ale wiem, że lata 1945-1948 były okresem burzliwej działalności Instytutu. U Ojca, przy ul. Chełmońskiego 3, pierwszej powojennej siedzibie IZ, w dawnym mieszkaniu Stanisławowstwa Bąkowskich (literat i poeta poznański), bywałem często. W Instytucie pracowało wiele osób z „Ojczyzny”. Była to swego rodzaju ich legalizacja – parasol rozpostarty nad nimi przez Ojca. Na horyzoncie pojawił się znów Tadeusz Lehr-Spławiński, jako prezes Kuratorium Instytutu. Gdy przyjeżdżał do Poznania, nocował zawsze „na Góralskiej”. Przysłuchiwałem się nie kończącym się rozmowom porannym i wieczornym. Doszedł Andrzej Grodek, wicedyrektor Instytutu, dojeżdżający z Warszawy i tam pilnujący interesów IZ. Z Grodkiem Ojciec bardzo się zaprzyjaźnił. Powojenny, wielki przyjaciel Ojca, to także Seweryn Wysłouch, bezpośrednio po wojnie prorektor połączonych Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Po powrocie z Anglii dołączył przedwojenny jeszcze przyjaciel Ojca – Marian Zygmunt Jedlicki. Więzy przyjaźni łączyły też Ojca z profesorem Januszem Pajewskim, warszawiakiem, który po wojnie na stałe osiadł w Poznaniu.

Zygmunt Wojciechowski gromadził wokół siebie bardzo pokaźne grono osób, uczonych–humanistów różnych dyscyplin naukowych. Instytut patronował powstającemu Słownikowi Starożytności Słowiańskich, Sekcja Onomastyczna IZ zajmowała się nowym nazewnictwem miejscowości na ziemiach zachodnich i północnych. Utkwiła mi w pamięci dyskusja („na Góralskiej”) między Kazimierzem Nitschem, wówczas prezesem Polskiej Akademii Umiejętności, a Tadeuszem Lehrem-Spławińskim, też przecież językoznawcą. Ten ostatni był zwolennikiem „Nisy” Łużyckiej. Nitsch, z lepszym wyczuciem języka polskiego, był twórcą „Nisy” – i wygrał. Pamiętam jak Lehr-Spławiński odgrażał się Nitschowi, że jeśli będzie „Nysa”, to on będzie zwolennikiem określenia „Wąwel nad Wysłą”.

Poszerzeniu środowiska, które wokół siebie gromadził Ojciec, służyła także „Osieczna” pod Leszmem. Był to położony w tej miejscowości, bezpośrednio

nad jeziorem, zamek niemieckiej rodziny von Heydebrand und der Lasa, wraz z położonym kilka kilometrów od Osieczny folwarkiem Jeziorki. Instytut utrzymał go bodaj do 1949 r., zamek nieco dłużej. W 1952 r. przejęła go nowo powstała Polska Akademia Nauk; Ojcu pozostawiono trzypokojowy apartament na parterze. Wakacje spędzaliśmy w Osiecznie. Jeździł tam „cały” naukowy Poznań, Wrocław, także Warszawa, w mniejszej mierze Kraków. Latem było to autentyczne interdyscyplinarne środowisko naukowe. Po przejęciu „Osieczny” przez PAN zwiększała się liczba warszawiaków, w dużej mierze nowych ludzi z wyższych pięt administracji Akademii.

Zachowała się zbiorowa fotografia, wieńcząca – w Osiecznie, we wrześniu 1951 r. – jubileusz 40-lecia pracy naukowej Tadeusza Lehra-Spławińskiego. Wśród kilkudziesięciu osób zgromadzonych do fotografii znajdowali się najwybitniejsi przedstawiciele ówczesnej humanistyki polskiej: Henryk Barycz, Jan Czekanowski, Jan Dąbrowski, Józef Gajek, Ryszard Gansiniec, Andrzej Grodek, Zenon Klemensiewicz, Józef Kostrzewski, Stanisław Kulczyński (botanik), Jerzy Kuryłowicz, Wojśław Molé, Kazimierz Nitsch, Kazimierz Tymieniecki, Zygmunt Wojciechowski, Seweryn Wysłouch; wśród ówczesnego młodego pokolenia: Aleksander Gieysztor, Witold Hensel, Zdzisław Kaczmarczyk, Józef Matuszewski, Michał Sczaniecki, Franciszek Sławski, Stanisław Urbańczyk.

Jubileusz był uroczystością „autonomiczną”, odbywającą się poza strukturami państwowymi i partyjnymi, co na ówczesne czasy było zupełną rzadkością.

Ojciec kładł duży nacisk na poznanie przeze mnie – jak wówczas mówiono – Ziem Odzyskanych. Włączył mnie w skład ekspedycji naukowej, która wczesną jesienią 1946 r. objeżdżała Dolny Śląsk. Rezultatem tej pięciodniowej wyprawy była, opublikowana w 1948 r., dwutomowa monografia Dolnego Śląska. Krainę tę wówczas nieźle poznałem. Późną wiosną 1948 r. pracowałem przez miesiąc, jako robotnik gospodarczy, przy przygotowującej się we Wrocławiu Wystawie Ziem Odzyskanych.

Bezpośrednio po wojnie, póki było to możliwe – aż do czeskiego unora (lutego) 1948 r., Ojciec kładł nacisk i to bardzo duży, na stworzenie ścisłych kontaktów naukowych polsko-czeskich; przed wojną prawie ich nie było, jeśli – to na gruncie slawistycznym. Uważał, że jednym z fundamentów naszego nowego miejsca w Europie powinny być wszelakie związki polsko-czeskie. Do Pragi jeździł, zawsze z Matką, dwa – trzy razy do roku; kurował się również w Karłowych Warach. Rezultatem tych działań Ojca były m.in. tłumaczenia na język czeski książek wydanych w Instytucie Zachodnim. W „odwrotną” stronę IZ wydał Jana Filipa *Pradzieje Czechosłowacji* i książkę polonisty praskiego, Mariana Szykowskiego pt. *Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym*. Rezultatem tego również była zbiorowa praca (pod redakcją Ojca) – *Polska – Czechy. Dziesięć wieków sąsiedztwa*.

Latem 1947 r. Rodzice zabrali mnie do Czechosłowacji; byliśmy tam 5 tygodni. Pamiętam naszych ówczesnych praskich przyjaciół: archeologa prof. Jana Filipa, polonistę – Karola Krejčiči, tłumaczkę z języka polskiego – Helenę Teigovą, poetę Jana Pilařa i młodego wówczas, przedwcześnie zmarłego historyka prawa, Vladimira Prochaskę. W Pradze mieszkaliśmy na Malej Stranie, w hotelu „Regent”, przy ul. Karmelickiej 20 (dziś w tym domu hotelu już nie ma). Ojciec pokazał mi „Stammtisch” Tomasza Masaryka, w kawiarni na Malostranskim Náměstí.

Wspomniany wyżej Marian Szykowski był niezwykle oryginalnym, przy tym człowiekiem z charyzmą. W czasie Jego pobytu w Poznaniu towarzyszyłem Mu na przedstawieniu w Operze. Pięknym barytonem, pełnym głosem (tak!), poprawił kiks poznańskiego barytona.

Ubocznym, ale ważnym efektem praskich podróży Rodziców były książki przywożone z Pragi. Czechosłowacja była wówczas naszym oknem na Zachód. W ramach tamtejszych swobód demokratycznych w praskich księgarniach kupić można było „literaturę zachodnią”, co w Polsce od początku nie było możliwe. Ojciec przywoził do Poznania liczną już wówczas, głównie pamiętnikarską literaturę dotyczącą genezy drugiej wojny światowej, a także samej wojny. Miałem wobec tego możliwość zapoznawania się z tą literaturą. Pamiętam np. jak z zapartym oddechem czytałem książkę – pamiętnik Grigore Gafencu (tuż przed wojną rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, potem posła w Moskwie), wydaną w Szwajcarii w 1944 r., pt. *Vorspiel zum Krieg im Osten*, z okresu posłowania Gafencu w Moskwie (1940-1941). Książki takie, choć w mniejszym zakresie, przywoził Ojciec również z Paryża (do Pragi jeździł samochodem). Stamtąd przywoził też pierwsze numery paryskiej „Kultury”; mam je w swojej bibliotece.

Ojciec odnowił również swoje przedwojenne, naukowe związki francuskie. Tu jednak, w przeciwieństwie do Czechów, nie był jedynym. Wszystkie te kontakty urwały się w latach 1948-1949. Pamiętam, jak serdecznie przywitał mnie w San Francisco (w 1975 r. na Międzynarodowym Kongresie Historyków) Paul Harsin (Belg), podówczas już staruszek, były przewodniczący międzynarodowego gremium historyków. Powiedziałem mu bowiem, że jestem synem Zygmunta Wojciechowskiego.

Upadek Władysława Gomułki (późne lato 1948) zacieśnił, w miarę upływu lat coraz bardziej, możliwości działania Instytutu Zachodniego. Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych – to ponure lata beznadziejności. Wydawało się, że tak już będzie zawsze. W tych latach Ojciec skoncentrował się na „Przeglądzie Zachodnim”, który wówczas był chyba najlepszym czasopiśmie historycznym w Polsce. Przeważała tematyka średniowieczna. Wykaz autorów drukujących wówczas w PZ wstydu temu piśmie nie przynosił. Ojcu miano za złe „zajawki” – krótkie „wstępniaki”, które drukował w „Przeglądzie”. Wiem, że czynił to

z całą świadomością; każdy taki „wstępniak” to barwy ochronne dla całego zeszytu.

Na koniec lat czterdziestych przypadły aresztowania bliskich współpracowników Ojca (Jan Jacek Nikisch, Edward Serwański, Kirył Sosnowski), którzy kilka lat spędzili w więzieniu. „W modzie” były również przesłuchiwanie przez UB, także na okoliczność osoby Ojca, jak np. późniejszego profesora, dyrektora krakowskiego Archiwum Akt Dawnych, przyjaciela Ojca – Mariana Friedberga, czy też profesora Karola Mariana Pospieszalskiego.

Ojca „nie tykano”. Ale raz lub dwa razy złożyła („na Góralskiej”) Rodzicom wizytę Julia Brystygierowa, dygnitarz w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, koleżanka Obojga ze studiów we Lwowie, jak Rodzice – seminarzystka profesora Jana Ptaśnika. Toczone z nią rozmowy, o których wiem bardzo niewiele, nie miały charakteru koleżeńskich wspominków, raczej – przesłuchań z wysokiego szczebla. Ojciec interweniował u Brystygierowej w sprawie dr. Józefa Zielińskiego, wspólnego kolegi uniwersyteckiego z seminarium Ptaśnika, aresztowanego w Krakowie „za konspirację”. Otrzymał on karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie; czy na skutek tej interwencji – nie wiem. Wyszedł na wolność w 1956 r. Z początkiem lat sześćdziesiątych Zieliński opowiadał mi, że gdy siedział w więzieniu we Wronkach, przyjechało do niego dwóch panów z Warszawy i przesłuchiwało go na okoliczność znajomości z Brystygierową.

Ojciec kilka razy (przed 1948) rozmawiał z Władysławem Gomułką, a także z Bolesławem Bierutem. Odmawiał mi informacji w tym przedmiocie. Na moje nalegania, co sądzi o Bierucie, odpowiedział krótko, z charakterystycznym dla niego machnięciem ręką: „co trzecie słowo »panie... tego«”.

Z końcem 1949 r. ożeniłem się i wyprowadziłem „z Góralskiej”, skutkiem czego więzy z domem rodzicielskim z natury rzeczy nieco się rozluźniły. Z tego okresu, do śmierci Ojca, niewiele więc utkwiło mi w pamięci. Prawie w każdą niedzielę graliśmy „na Góralskiej” w brydża, w stałej partii: Ojciec, Jan Czekanowski, moja Żona i ja. Owe brydże były dla nas prawdziwym seminarium. Zapamiętałem taki szczegół: Jan Czekanowski wyrzekał na Polskę Ludową, ja zaś zapytałem Go, czemu to czyni, skoro w gruncie rzeczy jest uprzywilejowany. Odpowiedział: niewiele rozumiesz; jestem uprzywilejowany w każdym reżimie.

Wśród zdarzeń wartych na pewno przypomnienia należy podróż z Ojcem do Warszawy, na kilka dni przed aresztowaniem Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Ojca wezwał do Warszawy, przysyłając samochód, Adam Rapacki, ówczesny Minister Szkolnictwa Wyższego. Pojechałem z Ojcem jako „ochroniarz”. Zaledwie usadowiłem się na krześle, w antresoli przed apartamentem ministra, Ojciec wyszedł i powiedział: wracamy do Poznania. W drodze do

samochoду (przy kierowcy nie można było rozmawiać) spytałem się: o co chodzi? Ojciec odpowiedział: „chęć aresztować Wyszyńskiego, zapytany o zdanie powiedziałem, że jest to krok nie do przyjęcia”. Więcej o tym ze mną nie rozmawiał; miałem oczywiście „siedzieć cicho”.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Ojciec nie był jedynym, zaproszonym przez Adama Rapackiego. Ten ostatni musiał chyba zdawać sobie sprawę z tego, jaka będzie opinia Ojca. Jeśli Jego – a zapewne i innych – zaprosił do siebie, by wysłuchiwać ich opinii, w jakim celu to czynił? Sądzę, że po to, by zapobiec aresztowaniu Prymasa Wyszyńskiego.

Czy cele, jakie – tworząc Instytut Zachodni – stawiał sobie Ojciec, wraz ze swymi współpracownikami, mogły być zrealizowane? Oczywiście, myślę o dziesięcioleciu 1945-1955, do śmierci Ojca. Sądzę, że dla okresu do 1948 r., a nawet do 1949 r., choć w zupełnie innych warunkach niż sądzono w 1944 r., odpowiedź wypadnie „tak”. W owych latach Instytut zrobił bardzo wiele dla bardzo szybko wówczas postępującej integracji „Ziem Odzyskanych” z resztą Polski. Zasługi te leżą przede wszystkim na polu naukowym, a także naukowo-popularyzatorskim. Istota tych zasług leży również w mobilizacji humanistyki polskiej dla potrzeb nowych ziem zachodnich i północnych. Inaczej po 1948 r., kiedy to Instytut praktycznie tylko wegetował. Stan zdrowia Ojca systematycznie się pogarszał; nie ulega dla mnie wątpliwości, że wpływ na ten stan miała również wymuszona politycznie bierność, przy przecież wielkim temperamentie i dynamice, jakie Ojca cechowały. Był coraz bardziej cierpki. W 1953 r. pojawiły się pierwsze jaskółki „walki z wojciechowszczyzną”, czego przejawem była zamieszczona w „Kwartalniku Historycznym” ocena działalności Ojca jako herolda ekspansji na wschód, co – jako żywo – miało się z prawdą. Dochodziła do tego niechęć już upolitycznionej części poznańskiego środowiska naukowego. Tylko częściowo tłumaczona ona być może autorytarnym (ale – z autorytetem) charakterem Ojca. Ówczesne młode pokolenie w swej poważnej części szukało nowych dróg, na miarę tamtych ponurych czasów. Tak było. Arbitralne sądy wypowiada się łatwo. Z perspektywy dzisiejszej – ocena musiałaby być bardzo wyważona. Pamiętam, jak po śmierci Stalina jeden z wybitnych, podówczas młodych uczonych poznańskich przekonywał mnie, że Rosja poniosła tak wielką stratę, że trudno jej będzie się podnieść. Prognoza, poniekąd, trafna.

Od końca 1954 r. Ojciec właściwie bez przerwy chorował. W końcu czerwca 1955 r. obchodził jubileusz trzydziestolecia pracy naukowej. Stan Jego zdrowia wskazywał, że następnych jubileuszy już nie będzie. Zmarł 14 października 1955 r.